Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 20 (1594) Warszawa, piątek, 10 marca 1967 r. Cena 50 gr

KSIĘŻNICZKA

NOWE OPOWIADANIE JANUSZA DOMAGALIKA O NASTOLATKACH Z PEWNEGO MIASTA — DZIŚ NA 6 STRONIE

W SZKOLE podstawowej miałem dobrą, serdeczną koleżankę. Razem wracaliśmy ze szkoły, uczyliśmy się też wspólnie. Ale po ukończeniu szkoły zrozumiałem, że to koniec przyjaźni. Moja koleżanka dostała się do liceum, ja zostałem w domu.

Nie było jej we wsi kilka miesięcy, aż wreszcie przyjechała. Chciałem się z nią spotkać, porozmawiać, ale ona wyraźnie mnie unikała.

Byłem rozczarowany jej zachowaniem. Wreszcie przypadkowo spotkaliśmy się, trwało to chwilę, mruknęła coś pod nosem i szybko odeszła. A przecież nie zrobiłem jej nic złego, nigdy nie uraziłem.

Od czasu, jak przeszła do miasta, zrobiła się wielką damą, patrzy na mnie jak na coś gorszego od siebie. (rj).

STEFAN

JA MYŚLĘ TAK, TY – BYĆ MOŻE – INACZEJ. PODYSKUTUJMY. WSPÓLNIE BĘDZIE NAM ŁATWIEJ ZROZUMIEĆ RÓŻNE SPRAWY.

JESTEM bardzo dobrą uczennicą i uważam, że jestem może nawet przesadnie ambitna. W nauce staram się nie dać prześcignąć.

Nie lubię, gdy w klasie bardzo dobrzy uczniowie wywyższają się i mądrzą. Nie, ja do nich nie należę. Często pomagam słabszym, staram się, aby opracowany ze mną temat umieli jak najlepiej.

Poza tym nie lubię, gdy ktoś wytyka moje wady. Wiem, że nie jestem „cudownym dzieckiem", dlatego też sama staram się swoje wady likwidować. Moja ambicja zmusza mnie do tego. Nie lubię się także chwalić. Denerwują mnie przechwałki rodziców na temat mojej nauki i zdolności. Chcę być taka, jaka jestem.

Na podstawie mojego postępowania uważam, że człowiek ambitny jest człowiekiem skromnym, ale ma i wady. Największą wadą jest częste obrażanie się na koleżanki i kolegów, którzy „naruszyli" nieświadomie jego przesadną ambicję (bs).

KASIA

CZŁOWIEK ambitny często ma różne wady. Jedną z nich jest bezwzględność.

Chciałbym dodać, że człowiek ambitny może mieć wiele cech dodatnich, a to mianowicie: uprzejmość, grzeczność. Najważniejsze jednak, żeby nigdy nie był samolubem. (bs).

JUREK

KLUB NASTOLATKÓW — TO MY WSZYSCY. ODPOWIADAMY SOBIE NA TRUDNE PYTANIA, CHCEMY WSPÓLNIE SOBIE POMÓC.

NIE LUBIĘ o sobie mówić. Napiszę jednak o moich kłopotach, o których nikt nie wie. Uczę się dobrze i wszystkie swoje obowiązki domowe wypełniam na piątkę. Ale mam kłopoty z mamą. Dla niej jest dobre tylko to, co było dawniej. Ciągle mi o tym mówi. Jak pracowała, uczyła się i ubierała. Trochę ją rozumiem.

Żyjemy jednak w innych czasach. Dlaczego mam nosić długie warkocze i wciąż spuszczać oczy? Kiedy powiem mimochodem o dość trudnej pracy w drużynie, mama mówi: „Jak chciałaś, to masz". Nie chce mnie puszczać na wycieczki, czy biwaki harcerskie. Mówi, że jeżdżę nie wiadomo dokąd.

Dlaczego tak jest, dlaczego nie chce zrozumieć nas młodych? Dla mojej mamy istnieje tylko praca w domu, zabawy z młodszym rodzeństwem. Przecież tym nie da się żyć. Bo nie można żyć w oderwaniu od innych.

Muszę brać udział w życiu społecznym. Już mam taką naturę i nikt jej nie potrafi zmienić.

Czasami dużo myślę i marzę. Lubię to. Myślę, jak zmienić w życiu mojej rodziny to, co jest niedobre. Ale czuję, że sama nie dam rady i zupełnie zdziczeję. Poradź mi, Klubie, co mam robić? (bs)

MARTA

MOIM ZDANIEM nowoczesna młodzież to nie ta, która ubiera się w mini-spódniczki i dżinsy-rury. Nowoczesna młodzież powinna mieć jakiś cel w życiu. Łączyć swoje zainteresowania i pracę nad sobą z tym, co przynosi nowe.

Dziewczyna nowoczesna powinna być wysportowana, musi interesować się różnymi zagadnieniami codziennego życia. Aby umiała zachować się w każdej sytuacji, w jakiej się znajdzie, aby umiała rozmawiać na różne tematy. Oczywiście dotyczy to również chłopca. Chodzi także o kulturalne zachowanie się o każdej porze i na każdym miejscu.

Staram się być taką nowoczesną dziewczyną. (bs)

RITA

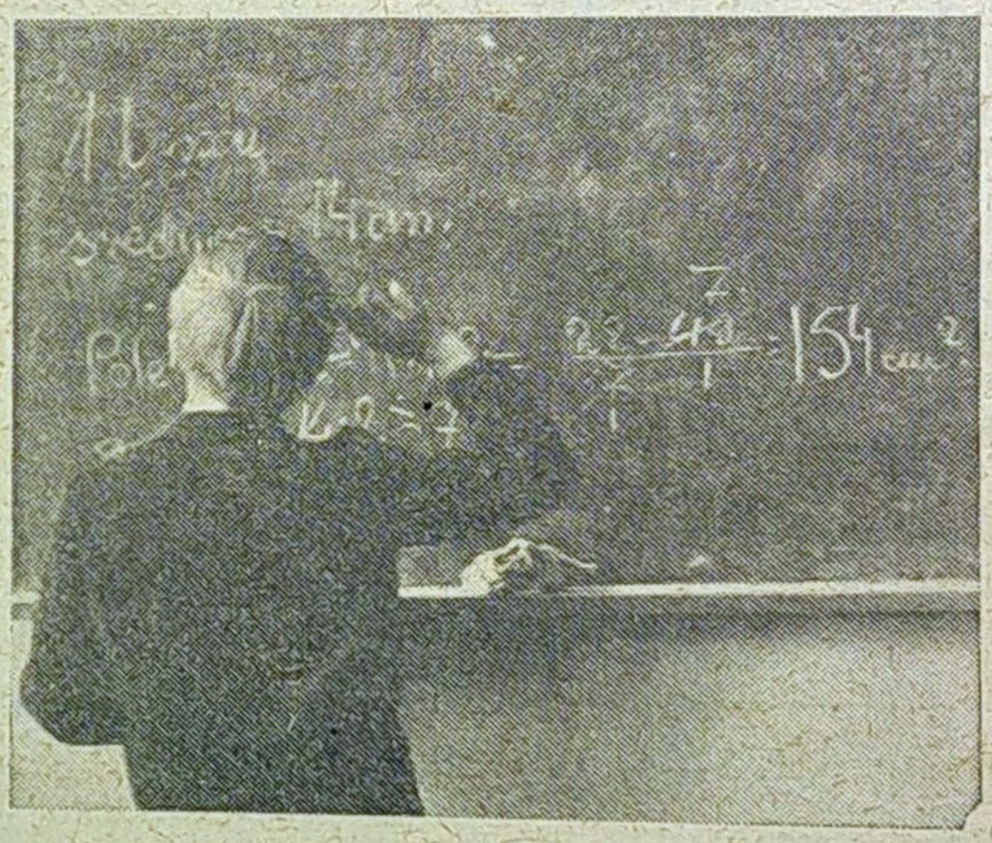

NASTOLATKI SZCZERZE DYSKUTUJĄ NA KAŻDY TEMAT. TAK TRZEBA!

MO na tropie (4)

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

— Zaczął pan, inspektorze, opowiadać o historii włamań do sklepów komisowych...

— A tak. To była swego czasu głośna sprawa. Kiedy na moje biurko trafiły akta kilku włamań, uderzyło mnie, że przestępcy posługują się tą samą metodą: przecinają nożycami kraty, albo kłódki. Każdemu włamaniu towarzyszyły też ślady samochodu osobowego. Widocznie wywożono nim łup.

Zabezpieczone kawałki krat i przeciętych kłódek posłałem do laboratorium. Wkrótce otrzymałem odpowiedź, która potwierdziła moją hipotezę: wszystkich przecięć dokonano tymi samymi nożycami.

Miałem więc do czynienia z jedną szajką.

Teraz dokładny opis sposobu włamania przekazałem do naszej kartoteki. Chodziło mi o to, czy mamy zarejestrowanego przestępcę, który tym sposobem już kiedyś się włamywał.

Tak! Podano mi kilka nazwisk. Trzeba było zbadać, co ci ludzie teraz robią. Dziesiątki funkcjonariuszy rozpoczęło badania.

Po kilku dniach miałem w ręku dokładne raporty. Kilku z podejrzanych, w dniach dokonanych włamań do komisów, siedziało w więzieniu. To zawsze jest najpewniejsze alibi. Dwóch było w tym czasie poza Warszawą. Jeden w dniu i w czasie ostatniego włamania oglądał program telewizyjny.

— Przepraszam... — przerwałem zaciekawiony. — A skąd wiecie, że to prawda?

— Potwierdzali to świadkowie. A poza tym w owym dniu, który nas interesował, spiker się pomylił w zapowiedzi filmu i przeprosił potem telewidzów. Ten fakt zapamiętał podejrzany i podczas przesłuchania powiedział nam o tym.

Zanim jednak powzięliśmy podejrzenie, że to być może Stasio W. dokonuje włamań, okradziono spółdzielnię krawiecką „Tempo". Wśród skradzionych rzeczy był również materiał na spodnie. Właściciel tego materiału przyniósł „resztkę" materiału, akurat na dwie pary spodni. Jedna para została już uszyta i tę złodzieje zostawili. Na drugim kawałku materiału krojczy tylko wyznaczył kredą formę. I ten kawałek złodzieje zabrali ze sobą.

Poleciłem teraz wszystkim wywiadowcom, biorącym udział w akcji — odszukanie tego kawałka materiału. Odpowiednie meldunki wysłaliśmy równocześnie do wszystkich Komend Dzielnicowych.

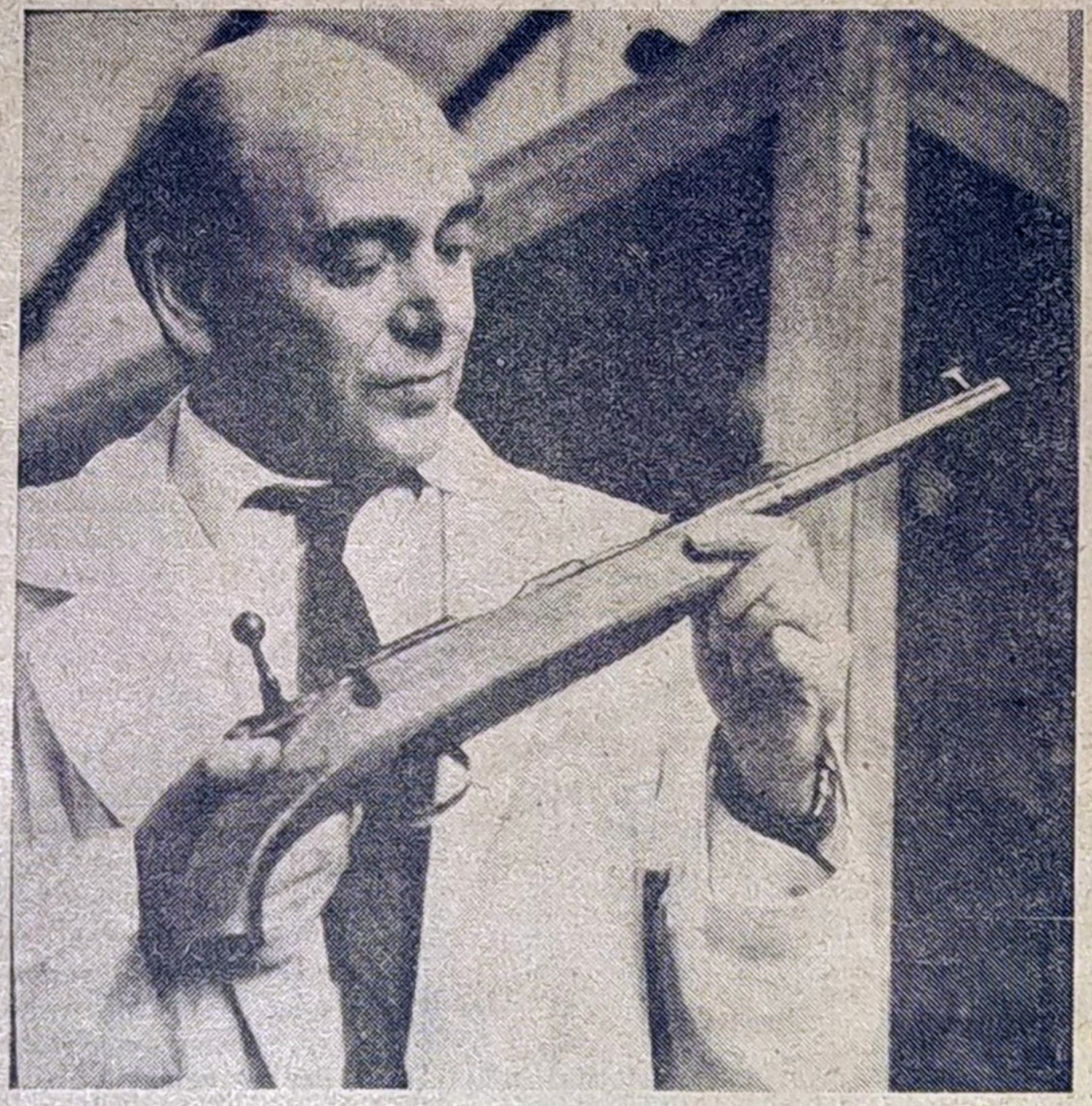

Ta fotografia została zrobiona w Dziale Broni Palnej Zakładu Kryminalistyki przy Komendzie Głównej MO. Foto: J. Dąbrowski

SPRAWA

Sprawdziliśmy w telewizji. Rzeczywiście! W sobotę o 22.30, a więc wtedy, kiedy prawdopodobnie miało miejsce włamanie, zaszła pomyłka, o której mówił podejrzany.

Nie można równocześnie przecinać krat i oglądać programu telewizyjnego.

W ten sposób spośród wszystkich podejrzanych został tylko jeden: woźnica, rozwożący węgiel, Stasio W., swego czasu karany już za włamania, których dokonywał właśnie przecinając nożycami kłódki i kraty.

Zaczęliśmy go śledzić.

To się tylko tak łatwo mówi. Śledzić! Ale taka praca wywiadowców to straszliwa mordęga. Bez względu na pogodę i na porę dnia trzeba mieć podejrzanego stale na oku, a równocześnie nie wzbudzić w nim żadnych podejrzeń.

Poszukiwania więc szły dwoma torami równocześnie:

1) Śledzenie Stasia W.

2) Szukanie materiału na spodnie.

Nasi ludzie odwiedzili w tym czasie wszystkich krawców warszawskich.

— Ależ to olbrzymia praca! A równocześnie nie mógł pan być przecież pewny, czy przyniesie efekty?

— Oczywiście, różnie mogło się zdarzyć. Złodziej mógł materiał sprzedać (dlatego obserwowaliśmy wszystkie pokątne punkty sprzedaży). Mógł towar trzymać w ukryciu. Ale naszym obowiązkiem było zrobić wszystko, żeby sprawdzić ten ślad.

— A gdyby okazał się fałszywy?

Z DALEKIEJ BASZKIRII

NASZĄ SZKOŁĘ odwiedzili pracownicy Fabryki Maszyn Papierniczych w Cieplicach. Pracownicy ci budowali fabrykę papieru w Baszkirii w Związku Radzieckim.

Pionierzy tamtejszej szkoły zaprosili polskich budowniczych na imprezę z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego. Pod koniec uroczystości pionierzy poprosili budowniczych o wręczenie proporczyka i kilku upominków najlepszej klasie w szkole, jaką zakład ma pod swoją opieką w Cieplicach.

Otrzymaliśmy więc bardzo piękny proporczyk ze złotą gwiazdą i album z ilustracjami republiki. Postanowiliśmy nawiązać przyjazne, braterskie stosunki z kolegami ze szkoły ze Związku Radzieckiego. **(bs)**

UCZNIOWIE SZKOŁY NR 3 w Cieplicach

CAŁY ŚWIAT W KOZIENICACH

DRUŻYNA Harcerska im. Zawiszy Czarnego ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Kozienicach utrzymuje kontakty z pionierami i dziećmi ponad 30 krajów świata, m. in. ZSRR, NRD, Węgier, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, a nawet Japonii i Filipin. Ostatnio harcerze zorganizowali w swej szkole bardzo ciekawą wystawę obrazującą kontakty z zagranicą, na której zgromadzili wiele eksponatów, jakie otrzymali od swych przyjaciół

PRZYSMAK DŻUNGLI

JEDNYM z najciekawszych płazów świata jest Rana Courana Goliat, potężna żaba żyjąca w Afryce. Waga jej ciała sięga 6 kg, a długość 60 cm. Po raz pierwszy zetknął się z tą niezwykłą żabą na początku tego wieku, w południowym Kamerunie, misjonarz i zoolog amerykański J. Bates. Kilka lat później w 1906 roku inny zoolog amerykański Boylanger złowił dwie takie żaby.

Przez 50 lat od tego momentu nic o istnieniu tego płaza nie słyszano. Nic dziwnego: ten gatunek żyje w trudno dostępnych i otoczonych gęstymi zaroślami rzekach i jest bardzo ostrożny. Można je schwytać dopiero po oślepieniu silnym reflektorem.

Ostatnio udało się to Afrykańczykowi Ondo. Rankiem w rzece Mbi schwytał żabę o wadze 3,3 kg. Nie jest to co prawda okaz rekordowy, tym niemniej, jak na żabę, przyznajemy, wystarczająco duży.

Żaby te żywią się krewetkami, owadami, małymi żabkami, liśćmi drzew. Niektórzy uczeni są zdania, że ich podstawowy pokarm to ryby. Mieszkańcy Kamerunu znad rzeki Mini przepadają za ich delikatnym, białym mięsem. Twierdzą, że jest smaczniejsze od wszystkich innych gatunków. Żabę tę nazywają „wiamoa" — czyli matką żab.

GONDERY

— Wtedy zapewne wpadłby w nasze ręce drugi, trzeci, piętnasty. Badalibyśmy tak długo, że wreszcie dotarlibyśmy do prawdy. Dlatego czasem śledztwo trwa tak długo. Czasem uda nam się nakryć przestępcę tego samego dnia, czasem po kilku tygodniach, lub nawet latach. Bywa i tak, że wszystkie ślady, jakie mamy w ręku, nagle się urywają. Ale zwykle wpadamy na inne, nowe...

Proszę stale pamiętać, że przeciw przestępcy czy nawet wieloosobowej szajce — występuje cały nasz olbrzymi aparat milicyjny. Czasy Sherlocka Holmesa — kiedy genialny detektyw sam jeden odkrywał przestępców — minęły bezpowrotnie.

Jeśli udaje nam się wykrywać olbrzymią większość przestępstw, to tylko dzięki usilnej pracy, setek bezimiennych pracowników milicji. Tych, którzy śledzą. Tych, którzy przesłuchują. I tych, którzy pracują w laboratoriach, kartotekach i bodaj nigdy nie widzieli na własne oczy żadnego przestępcy, a tyle przecież mają o nich do powiedzenia...

Kompromitujące spodnie

I TAK było ze sprawą Gondery. Bo ostatecznie nasi ludzie odnaleźli materiał u pokątnego krawca. Ten powiedział, kto mu dał do uszycia spodnie. Był to warszawski taksówkarz Gondera.

W spółdzielniach krawieckich, krojczy, po wykonaniu formy, podpisuje się kredą na materiale. Sprawdziliśmy podpis. Zgadzał się. Porównaliśmy odzyskany materiał z uszytą wcześniej parą spodni — to był ten sam materiał.

Ale Gondera, kiedy do niego przyjechaliśmy, do niczego się nie przyznał.

— Materiał kupiłem na placu — wyjaśnił.

— U kogo?

— Nie pamiętam.

I tak być mogło.

Przeprowadziliśmy dokładną rewizję. Niczego nie dała.

Równocześnie jednak druga grupa naszych ludzi, która śledziła Stasia W., podała nam bezsporne dowody, że Stasio wraz z dwoma kolegami dokonał wszystkich włamań, a skradziony towar przekazał Gonderze.

Całą trójkę włamywaczy zaaresztowaliśmy i po raz drugi pojechaliśmy do domu Gondery. Ten jednak na nas nie czekał. Mimo że był pilnowany — uciekł. Zostawił wprawdzie swoją taksówkę na podwórzu, ale pożyczył inną od kolegi.

Przez dwa dni szukaliśmy Gondery. Wyjechać z Warszawy autem nie mógł, bo wszystkie drogi wylotowe były obsadzone. Ale stolica to olbrzymie miasto. Nie tak łatwo wśród ponad miliona mieszkańców znaleźć jednego człowieka.

Wszyscy milicjanci bez względu na rodzaj służby otrzymali rysopis poszukiwanego i polecenie zatrzymania.

Po 48 godzinach, jeden z milicjantów z kompanii Ruchu Drogowego zatrzymał jakiś samochód, tak jak zatrzymywał wszystkie. I oto stwierdził, że za kierownicą siedzi osobnik odpowiadający rysopisowi Gondery. Nastąpiła jednak nieoczekiwana komplikacja. Ostatnia już na szczęście w tym śledztwie.

Gondera został przyłapany na przedmieściach stolicy. Droga była pusta. Milicjant miał motocykl, a przestępca był w samochodzie. Jak teraz dostawić Gonderę do Komendy? Można by zamknąć samochód i wziąć przestępcę na siodełko, ale to niebezpieczne. Da w łeb i ucieknie. Można by wziąć go do samochodu.. Ale przecież w tym czasie ktoś może gwizdnąć motocykl...

I tak źle i tak niedobrze. Wreszcie milicjant wpadł na pomysł.

— Panie Gondera — powiedział do przestępcy. — Pojedzie pan na trzecim biegu do Komendy Miasta. Ja będę jechał za panem. Ostrzegam jednak: jeden podejrzany ruch a wywalę cały magazynek...

To mówiąc, wsiadł na motocykl i prowadząc go cały czas jedną ręką, w drugiej trzymał odbezpieczony pistolet. A to przecież wcale nie było takie łatwe. Można się przekonać, jadąc w ten sposób na rowerze kilkanaście kilometrów pustą drogą polną. A cóż dopiero w Warszawie, gdzie w śródmieściu jest spory ruch... Ale udało się i przestępca znalazł się pod kluczem.

*

Kiedy inspektor Piętka kończył opowiadać, spojrzałem na zegarek. Nasza rozmowa trwała już kilka godzin. Na pana Andrzeja znów czekała, jak zwykle, żona z wystygłym obiadem, czekał syn, a tu jeszcze trzeba było wracać do komendy...

Podziękowałem więc serdecznie, w swoim i czytelników imieniu, uzyskując obietnicę, że gdy będzie prowadził jakąś ciekawą sprawę — zatelefonuje do nas, do redakcji.

Bo nieraz jeszcze będziemy wam chcieli opowiedzieć o trudnej, ciekawej ale i niebezpiecznej pracy naszej milicji.

JERZY B. KLIMA

To jest powiększona fotografia linii papilarnych palca.

— Nie ma dwóch ludzi na świecie — mówi ppłk Stefan Adamczak, zastępca kierownika Zakładu Kryminalistyki — ani nigdy nie było w historii ludzkości o identycznych liniach (odciskach). To nam pomaga, na podstawie śladów, które zawsze zostawia przestępca, stwierdzić jego osobę.

Mamy ustalonych 13 cech, które w różnych kombinacjach występują w każdym odcisku palca. Prawdopodobieństwo ich powtórzenia się w tym samym układzie występuje co 13.000.000.000 (miliardów) razy. Przypominam, że na kuli ziemskiej żyje około 3,5 miliarda ludności.

Człowiek rodzi się ze swymi liniami papilarnymi i z nimi umiera. Zmienia się wygląd twarzy i figury, układ papilarny od urodzenia pozostaje nie zmieniony.

Czasem przestępcy starają się drogą operacyjną zniekształcić poduszki palców. Na nic to wszystko. Skóra odrasta z identycznym układem linii papilarnych.

Obecnie zakład nasz przeprowadza badania nad głosem ludzkim. Wszystko wskazuje, że jest on również niepowtarzalny, również nierozłączny z danym osobnikiem.

MOTO-NARTY

● Grupa konstruktorów z instytutu politechnicznego w Gorkim jest autorem projektu i wykonania pierwszych w ZSRR moto-nart, które pozwalają poruszać się człowiekowi z szybkością 25 km/godz. po śnieżnych polach, wspinać się na niewielkie pagórki, a także lawirować wśród lasów w tajdze. Moto-narty są niewielkim pojazdem poruszającym się na gąsienicach, a kierowanym dwiema ruchomymi nartami. Pojazd może zabrać trzech ludzi, lub jednego i 150 kg ładunku.

IMIONA ZIEMIAN NA KSIĘŻYCU

● W Akademii Nauk ZSRR zakończono prace nad nową mapą i nowym globusem Księżyca. Umieszczono na nim imiona wszystkich znakomitych uczonych, którzy weszli do historii światowej nauki. Obok dotychczasowych nazw kraterów jak — Kopernika, Platona, Keplera, na nowej mapie znalazły się kratery: Giordana Bruno, Łomonosowa, Ciołkowskiego, Joliot-Curie, Popowa, Mendelejewa i innych.

MARYNARSKIE HOBBY

PRZECIĘTNY marynarz, rybak i sieciarz zna od 8 do 10 węzłów, czyli sposobów wiązania lin. Cóż to jednak jest w porównaniu z trzystoma węzłami, które wiąże z pamięci kapitan żeglugi wielkiej, pan Wojciech Zaczek. Jest on wykładowcą w Szkole Morskiej w Gdyni, starszym dewiatorem portu gdyńskiego i obrońcą w Izbie Morskiej.

Operując taką ilością węzłów i splotów, spośród których wiele jest koniecznych w codziennej pracy marynarza na statku, pan Zaczek tworzy z lin i sznurków piękne przedmioty zdobne w bogate wzory. Są to pasy, torebki, wisiorki, koszyczki, pantofelki damskie, wreszcie oryginalne ramy do obrazów. Zwiedzającym sale wykładowe Szkoły Morskiej w Gdyni rzucają się w oczy wykonane przez pana Zaczka pomoce w postaci tablic z kilkudziesięcioma węzłami marynarskimi i użytkowe przedmioty w formie plecionych lin do gongów okrętowych.

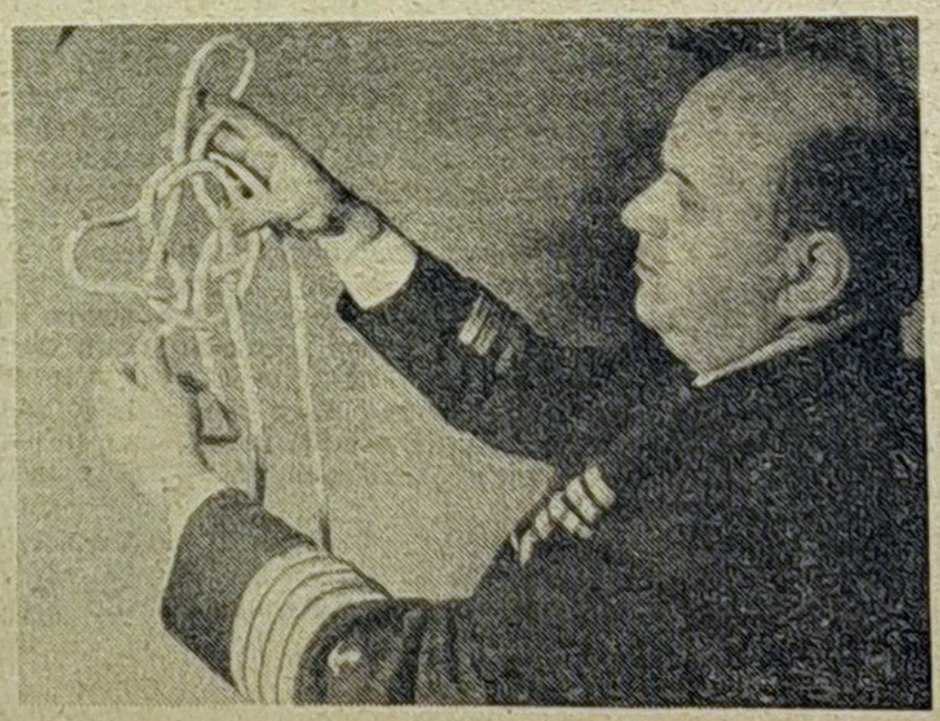

Foto CAF

PIECZĄTKI, stempelki odciśnięte barwnikiem na listach, dokumentach, biletach kolejowych, szkolnych legitymacjach... Przyzwyczajeni jesteśmy do pieczęci i nie zwracamy na nie uwagi.

W archiwum Akt Dawnych w Warszawie znajduje się 8.788 pergaminowych i ponad 3.000 papierowych dokumentów, opatrzonych pieczęciami naszych królów, książąt, pieczęciami władców państw obcych, którzy zawierali z nami układy; pieczęciami starych miast Polski. Pieczęć bowiem i dawniej była świadectwem autentyczności dokumentu, zastępowała lub uzupełniała podpis monarchy lub urzędu, który go wystawiał.

Szyja pana kanclerza

PIECZĘCIAMI KRÓLEWSKIMI opiekowali się kanclerze. Pieczęcie a właściwie tzw. tłoki pieczętne przechowywane były w królewskich skarbcach lub żelaznych kasetach. Pieczęć wielkiego Mistrza Krzyżackiego Konrada von Jungingen, (zszedł z widowni na parę lat przed Grunwaldem, a więc proszę nie mylić go z Ulrykiem o tym samym nazwisku, którego znacie z „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza i filmu) strzeżona była ponoć w skrzyni o trzech zamkach! Klucze do niej miał sam Mistrz, komtur i skarbnik Zakonu. Bez zgody i wiedzy jednego spośród nich pieczęć nie mogła być użyta.

Oglądałam jeden z nielicznych, zachowanych do naszych czasów, stempli do pieczęci — wielką litewską pieczęć króla Jana III Sobieskiego. Pochodzi z lat przed tzw. „potrzebą wiedeńską", z roku 1676, gdy Kanclerzem Wielkim Litewskim był Marcian Ogiński. Otóż ów tłok do odbijania pieczęci wykonany jest ze srebra i, jak zapewniał mnie mój przewodnik po Archiwum mgr Stefan Kuczyński, waży ponad pół kg!

W uroczystych chwilach kanclerz występujący urzędowo ukazywał się z pieczęcią zawieszoną na szyi na łańcuchu. Wyobrażam sobie, jak biedna była szyja pana kanclerza Ogińskiego! Na szczęście dostojny urzędnik królewskiej kancelarii mógł podtrzymywać ów ciężar dłonią.

Pergaminowy list żelazny

PIECZĘCIE KRÓLEWSKIE miały różną wielkość. Sobieskiego nie była największa! Pieczęć królowej angielskiej Wiktorii, pochodząca z I połowy XIX wieku (w tym mniej więcej czasie pisał swój „Pięciokrosiąg Indiański" J.F. Cooper) dochodziła do 150 mm średnicy! Zwykły szkolny zeszyt nie byłby w stanie pomieścić jej odbicia.

Nasi królowie mieli pieczęcie o skromniejszych wymiarach. Dla przykładu: Łokietek 100 mm, Kazimierz Wielki: 116 mm, Władysław Jagiełło kazał sobie wykonać stempelek, który wybijał w wosku pieczęć o średnicy 122 mm.

Tę właśnie pieczęć Jagiełły o bardzo pięknym rysunku, oglądałam zawieszoną do listu żelaznego wydanego królowi węgierskiemu Zygmuntowi, gdy ten odjeżdżał z Polski, po złożeniu wizyty. Tzw. list żelazny pisany był oczywiście na pergaminie, a pieczęć uwieszona jest do dokumentu wedle zwyczajów wówczas stosowanych. Pieczęcie umocowywano przeważnie na jedwabnych sznurach lub przyczepionych paskach pergaminu, a sam odcisk pieczęci zabezpieczała większa od niej otoczka woskowa, stwarzająca rodzaj miseczki.

Czasami dokumentowi nie wystarczała jedna pieczęć! Dla dodania mu ważności umieszczano ich kilka lub nawet kilkadziesiąt. W 1466 roku, po wojnie z Krzyżakami zwanej Trzynastoletnią, Kazimierz Jagiellończyk zawarł z Zakonem pokój w Toruniu, na mocy którego wróciło do Polski Pomorze, a Krzyżacy stali się lennikami naszego państwa. Dokument, jaki wówczas otrzymaliśmy od Krzyżaków, opatrzony był ponad dwoma dziesiątkami woskowych pieczęci. Sześć pergaminowych ciasno zapisanych łacińską kart układu poświadczyli komturowie krzyżaccy, zarządy miast pruskich i inni dostojnicy. Pieczęci Wielkiego Mistrza, pierwszej z szeregu, nie ma przy pergaminie, zachował się jedynie otwór, do którego ta — zapewne największa pieczęć — była umocowana.

Dokument strony polskiej opatrzony był jeszcze większą liczbą woskowych pieczęci. Do dzisiejszych czasów zachowało się ich 55.

Weź cztery funty wosku pszczelego...

DO CZTERECH FUNTÓW wosku pszczelego dodać 1/4 funta żywicy, 1/2 oleju lnianego oraz 3/4 funta barwnika.

Tak brzmi jedna z najstarszych znanych recept śląskich na woskowe pieczęcie. Czasami zamiast żywicy dodawano... świeżego ciasta. Wosk używany do wytłaczania pieczęci barwiono naturalnymi barwnikami na kolor czerwony, zielony, czarny, niekiedy biały. Pieczęcie królewskie były na ogół czerwone, choć i niektóre miasta, jak Wrocław Gdańsk i Toruń otrzymały przywilej pieczętowania woskiem czerwonym. Kiedy zaczęto stosować lak, nazywano go na początku również woskiem, z przymiotnikiem hiszpański. W południowych rejonach Europy i świata zamiast wosku używano innych trwalszych materiałów na przykład ołowiu. Oryginalna pieczęć sułtana Murada, której przyglądałam się w Archiwum, pochodzi z 1575 roku. Jest to barwny rysunek, który znawcy nazywają tugrą. Dokument — długi zwój pergaminu — dotyczący odnowienia przymierza — otrzymał od sułtana król Stefan Batory.

Piętno na honorze

KIEDY W ROKU 1530 jeden z wrocławskich złotników wykonywał końcowe prace rytownicze w tłoku pieczęci zamówionym przez ówczesną Radę Miejską miasta, musiał to robić pod dozorem jednego z jej przedstawicieli. Pilnowano go nie dlatego, że pracę swoją wykonywał w szlachetnym kruszcu, lecz zachodziła obawa, iż mógłby wykorzystać gotową już pieczęć...

Fałszowaniem pieczęci, jak się okazuje, zajmowano się już dawno, a można powiedzieć — zawsze.

Widziałam kiedyś zwyczajną szkolną legitymację 12-latka, który sobie „poprawił" wprawdzie nie pieczęć szkoły, lecz... datę swojego urodzenia. Oczywiście na wcześniejszą, albowiem chłopiec ten jest kinomanem i chciał mieć lat przynajmniej 14, aby móc chodzić na filmy dozwolone dla tego wieku. Jak się należy domyślać, praktyka taka w skutkach była bardzo opłakana!...

Fałszerzy pieczęci piętnowano, naznaczając ich fatalnym znakiem na całe życie. W starych kronikach spotkać można opisy jeszcze surowszych, niż piętnowanie, kar.

Oto, gdy Zygmuntowi Augustowi a raczej jego nowemu kanclerzowi, skradziono srebrny tłok do pieczęci i złodzieja złapano, skazano go na karę śmierci przez powieszenie. Jegomość ów być może połaszczył się zresztą nie na okazję do wystawiania sobie lub komuś dokumentów, lecz na złoty łańcuch, który był przy pieczęci. Odnaleziony tłok król kazał zniszczyć i sporządzić nowy. Teraz też można nieraz wyczytać w gazetach ogłoszenia: „Unieważnia się pieczęć...".

Jeszcze o fałszerzach

NIE ZNANE MI SĄ LOSY pewnego kapitana wojsk królewskich, który wykorzystał stalowe kopie pieczęci książąt pomorskich oraz Zygmunta Starego. Na pewno nie były one do pozazdroszczenia! Pokusa fałszowania dokumentów była jednak potężna. Dlatego właśnie przyjął się zwyczaj niszczenia pieczęci wraz ze śmiercią króla.

Sławnym fałszerzem był jeden z kanclerzy cesarstwa niemieckiego. Kanclerz króla francuskiego, Henryka IV, poczynał sobie zgoła bezczelnie, bo jeszcze w pięć lat po śmierci swojego władcy posługiwał się jego znakiem — dla celów przestępczych!

Fałsz wychodzi na wierzch

SPECJALIŚCI OD FAŁSZOWANIA pieczęci stosowali najrozmaitsze sposoby. Np. rozgrzanym ostrzem noża zdejmowali wierzchnią płaszczyznę woskowej pieczęci lub też odcinali ją przy pomocy nasączonego terpentyną końskiego włosia... Wszystko po to, aby autentyczną pieczęć przystawić do sfałszowanego dokumentu! Sposobów było wiele. Nie wchodźmy w szczegóły, abyście nie wyciągnęli wniosków, że podrabianie podpisów rodziców w dzienniczku z dwójami to drobiazg. Wszelki fałsz wychodzi na wierzch.

Król na majestacie

PIERWSZY KORONOWANY po okresie rozbicia dzielnicowego polski książę Przemysł posiadał tylko jedną pieczęć. Władysław Łokietek miał ich już dwie. A jego wielki syn — Kazimierz — pięć. Jagiełło siedem, a Kazimierz Jagiellończyk osiem rozmaitej wielkości pieczęci. Król, któremu kolumnę postawiliśmy w Warszawie za to, że miasto to uczynił stolicą państwa, pobił pod tym względem rekord. Gdy umarł, po bardzo długim i nie najszczęśliwszym dla kraju panowaniu, pozostało po nim aż 19 różnych pieczęci!

Do dokumentów mniejszej wagi przykładano mniejsze pieczęcie. Przedstawiające króla na majestacie służyły do dokumentów o wadze państwowej. Niektóre z nich zamykane były w specjalnych, metalowych lub toczonych z drewna puszkach, mających uchronić kruchy wosk.

Stanisław August Poniatowski, ostatni polski król, również używał kilkunastu pieczęci. Jednej z nich miałam nawet zaszczyt dotknąć. Możecie mi wierzyć, że zrobiłam to nadzwyczaj delikatnie! Pieczęć ta zamknięta w ochronne srebrne pudełko z wyobrażeniem na wierzchu herbu Warszawy — Syreną — przytwierdzona jest do pięknej oprawnej w czerwoną skórę księgi, potwierdzającej przywileje dla miasta Warszawy. Na pergaminowych kartach owego dokumentu widnieje autentyczny podpis królewski. Król Staś miał ładny charakter pisma! A choć rok był już 1772, cała księga zapisana jest po łacinie.

Słów kilka o herbie Warszawy — Syrenie. Ta dawna wyglądała znacznie bardziej muskularnie, niż dzisiejsza wdzięczna Syrenka, którą tak wszyscy lubimy! Ale to na marginesie. O herbach miast bowiem warto szerzej pomówić w innym artykule.

Portrety w wosku

STARE DOKUMENTY, zamknięte w archiwach, służą naukowcom — historykom. Pieczęcie — odrębna dziedzina nauki — zwana sfragistyką — przyciąga ludzi różnych zainteresowań. Na pieczęciach starano się oddać wygląd monarchów, przedstawiano ich we wspaniałych ówczesnych strojach, na tronie lub w zbrojach rycerskich, na koniu, lub pieszo.

Kiedy Jan Matejko malował swoje obrazy, korzystał ze starych pieczęci, monet, medali — z portretów w wosku i metalu.

Na pieczęciach królewskich przedstawiano nie tylko wizerunek władcy i godło państwa — Orła Polskiego — ale i herby dzielnic, wchodzących w skład Rzeczypospolitej, fragmenty architektury, a nawet ulubione zwierzęta. Książę Władysław III, zwany Opolczykiem, pozostawił po sobie wspaniałą pieczęć (rok 1378) konną, która przedstawiała go zakutego w zbroję z pieskiem na siodle.

Jeśli już mowa o królewskich dzieciach, to muszę się pochwalić, że w Archiwum Akt Dawnych oglądałam pisany po polsku list Anny Jagiellonki, córki Zygmunta Starego, która znacznie starsza od swego brata — Zygmunta Augusta, króla — donosiła mu o swojej podróży. W Warszawie panowało wówczas morowe powietrze, listowi to jednak nie zaszkodziło. Dotrwał w doskonałym stanie do dziś! Własnoręczny podpis królowej Anny jest nieco krzywawy, choć była osobą jak na owe czasy, nieźle wykształconą. Ów list królewna opatrzyła własną pieczątką, wykonaną dość nowoczesną techniką. Pieczęć Anny odbita jest na papierze, pod który położono cienką warstewkę wosku. Do odciśnięcia takiej pieczęci trzeba było użyć trochę większej siły. Nic więc dziwnego, że w kancelariach urzędów stosowano w tym celu — młotek.

Śladami pancernych

MOJA WYPRAWA śladami starych pieczęci nie byłaby kompletna, gdybym nie zajrzała jeszcze do kwater polskich hetmanów koronnych i polnych, do sztabów wojennych... Takim miejscem, w którym zgromadzono pieczęcie wojskowe, jest Muzeum Wojska Polskiego. Dzięki uprzejmości mgr Wandy Bigoszewskiej pieczęcie przyniesiono specjalnie dla mnie z magazynu. Brałam więc do rąk oprawne w drewno lub metal stemple, znanych z Sienkiewiczowskiej Trylogii wodzów: Stanisława Lubomirskiego, Jana Sapiehy — Hetmana Wielkiego Litewskiego.

Tadeusz Kościuszko Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej miał na środku swojej lakowej pieczęci napis polski: Wolność, Całość, Niepodległość.

Oglądałam też pieczęć generała Henryka Dąbrowskiego, którego nazwisko pozostało w słowach naszego hymnu narodowego. Zajrzałam również i w czasy najnowsze... do skromnych wojskowych pieczęci, formujących się na terenie Związku Radzieckiego oddziałów Armii Ludowego Wojska Polskiego.

Za lat sto może, pieczęć Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, w której walczyła dzielna czwórka czołgistów i pies Szarik, będzie się też znajdowała w Archiwum Akt Dawnych...

ANNA GRZYBOWIECKA

W roku 1575 na dwór króla Stefana Batorego przybyło poselstwo od Sułtana Murada, przywożąc dokument odnawiający przymierze polsko-tureckie. Dokument — bardzo długi zwój pergaminu — zdobiła pieczęć malowana. Wosk, używany w tym czasie u nas, w ciepłym klimacie Turcji nie mógł być stosowany do pieczęci.

Rys. M. Kościelniak

Pieczęć majestatyczna króla Władysława Jagiełły. Jej oryginał razem z dokumentem z roku 1415 przechowywany jest w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Foto: A. Lipka

Pieczęcie nastolatków

WŁASNE PIECZĘCIE miały też „nastolatki" — dzieci koronowanych, czyli królewny i królewicze. Dwóch nastolatków, Mieszka i Władysława, stojących po obu bokach matki, księżnej kaliskiej o muzycznym imieniu Viola, można zobaczyć na pieczęci pochodzącej mniej więcej z roku 1234.

Trochę trudno nazwać żonę królewicza jednego z synów Jana III „nastolatką", a jednak warto o niej wspomnieć. Dlatego, że bodajże pierwsza posiadała pieczęć z polskim, a nie łacińskim, napisem w otoku. Napis ten brzmiał: „Królewicowa Polska",

Kiedy lalki zaczęły mówić

● Pierwsze lalki mrugające oczami pojawiły się we Francji przeszło 150 lat temu. W tym też czasie ukazały się lalki dla dzieci, mówiące: „mama", „tata".

Lis podrzutek

● W farmie hodowli zwierząt, w radzieckiej Armenii, mały lisek stracił matkę. Dano go więc pod opiekę kotce mającej małe. Kotka bardzo przywiązała się do podrzutka i kiedy kocięta urosły i odeszły od matki, lisek pozostał nadal u przybranej mamy.

Żarłoczne rekiny

● W Australii złowiono ostatnio wielkiego rekina mierzącego 7 m 20 cm długości. W jego wnętrzu znaleziono innego rekina mierzącego „tylko" trzy metry. Ten z kolei nie zdążył jeszcze strawić 3 małych, zaledwie po 70 cm, rekinów.

Pingwin opiekunem szczeniąt

● Suka żyjąca w jednym z ogrodów zoologicznych w Londynie urodziła siedem szczeniąt. W ogrodzie tym żyje również pingwin Volby. Pingwin tak przywykł do szczeniąt, że pilnuje ich bez przerwy, a gdy ktoś do nich się zbliży, Volby w pośpiechu chowa je pod swoje skrzydła.

I rybom potrzebny lekarz

● W Japonii otwarto szpital dla morskich ryb i żółwi, delfinów i krabów. W akwariach szpitalnych nie tylko leczy się z różnych schorzeń pływających pacjentów, lecz przyucza się ich także do higieny. Niektóre ryby „przywykły" już do tego, że po posiłku czyści się im... zęby.

Podwodny dom

● „SADKO", tak brzmi nazwa podwodnego domku-kapsuły, w którym na głębokości 25 metrów u brzegów Suchumi, w Morzu Czarnym, przebywali przez miesiąc radzieccy badacze głębin morskich. Choć podwodny domek był niewielki — średnica jego wynosiła zaledwie 3 metry — uczeni mogli swobodnie w nim pracować i odpoczywać. Wychodzili oni ze swego domku w celach poznawczych na wyprawy po morskim dnie, opuszczając się na głębokość nawet do 200 metrów.

Księżniczka

Napisał JANUSZ DOMAGALIK

Z NIKIM się właściwie nie przyjaźniłem. Bo ja wiem dlaczego? Klasa była taka sobie, nie najgorsza, ale nic specjalnie ciekawego. Większość z nas mieszkała dość daleko od szkoły, więc zaraz po lekcjach szło się do domu. A potem nikt się już z nikim raczej nie spotykał. Więc tylko tyle znaliśmy się, co z lekcji i przerw między nimi. Była niby drużyna harcerska, ale z naszej klasy mało kto do niej należał, przeważnie dziewczyny. Ja w każdym razie nie.

Czasami myślałem sobie, że dobrze byłoby mieć przyjaciela, ale takiego prawdziwego. Tylko skąd go wziąć? Nie można przecież tak zwyczajnie upatrzyć sobie kogoś, a potem podejść do niego i powiedzieć: może byśmy się zaprzyjaźnili? Bzdura. Każdy by wybuchnął śmiechem.

Irka przyszła do naszej klasy w zimie, jakoś tak od półrocza. Dziewczyny od pierwszego dnia jej nie lubiły. Trzymała się od nich z boku, była jakaś dziwna. Właściwie chyba niełądna, chociaż — czy ja wiem? Dość wysoka, z włosami spiętymi do tyłu... Jakieś to uczesanie było ni w pięć ni w dziewięć, ani to koński ogon, ani co innego. Dopiero jak ją kiedyś spotkałem w niedzielę na ulicy i zobaczyłem, że włosy ma spuszczone, tak że zakrywały jej prawie policzki, jak to się czasem widzi na filmach, zrozumiałem, że to zaczesanie do tyłu było tylko dla szkoły, żeby się jej nie czepiano.

Nasze miasto było niewielkie, ale nie żeby znowu jakaś dziura, zabita deskami. Sporo było ładnych dziewcząt, o wiele lepiej ubranych od Irki, ale kiedy ona szła ulicą to chłopcy, i nie tylko chłopcy, chyba częściej się za nią oglądali, niż za tamtymi. Ale nie zaczepiali jej, jak to się zdarza. Wiem, bo nieraz widziałem. Ona była inna, jakby nie bardzo u nas pasowała... A może to ja tylko tak wymyśliłem?

Cóż dopiero w klasie! Tutaj to już moim zdaniem na pewno nie pasowała. Albo też może klasa zupełnie nie pasowała do niej? Nieraz przez całą lekcję patrzałem tylko na nią, po prostu nikogo innego nie widziałem w tych czterech ścianach, tylko ją. A niby nie była wcale ładna. Taka Danka Kozłowska, albo Walczakówna, o całe niebo były ładniejsze.

Może się mylę, bo przecież wcale nie znałem go lepiej, niż kogo innego z klasy, ale wydaje mi się, że Heniek Malcherczyk też się tak wpatrywał w Irkę, jak ja. On miał bliżej, bo siedział tuż za nią. Ale może to wcale nie było lepsze miejsce, bo właściwie widział zawsze tylko te włosy nieładnie spięte. Ciekawe, czy on ją też choć raz spotkał na ulicy, inaczej uczesaną?

Nowemu chyba nigdy nie jest łatwo tak szybko zżyć się z klasą. Ale przynajmniej stara się jakoś, robi co może. A Irka nie, jakby jej zupełnie nie zależało. Prawie z nikim nie rozmawiała. A jeśli już nawet odezwała się, to tylko tyle, co koniecznie trzeba było: proszę, przepraszam, co zadane, ale dziś zimno...

Malcherczyk powiedział mi kiedyś:

— Ty, może ona chora jest, albo co?

— Może... Taka jakaś smutna!

— Raczej zamyślona...

— Dlaczego zamyślona? Smutna! — upierałem się. — Może ma zmartwienie?

— To spytaj ją, co? — zaproponował.

— A sam nie możesz? — roześmiałem się ironicznie, choć wiedziałem, że i on może i ja mogę, ale żaden z nas jej nie spyta.

Kiedy indziej znów Malcherczyk podszedł do mnie i zagadnął:

— Ty, słuchaj.., Gdzie ona właściwie mieszka?

— Kto?

Wzruszył ramionami, co miało pewno znaczyć, że ja się zgrywam, a jego to wcale nie bawi. I mruknął:

— Chyba gdzieś w twojej stronie, za mostem...

— Możliwe, że za mostem... — zgodziłem się, co mi przyszło tym łatwiej, że wiele razy ją widziałem właśnie na naszym osiedlu, za rzeką.

— A nie wiesz, skąd ona przyjechała? — dopytywał Malcherczyk. — Tak w połowie roku, ni stąd ni zowąd... Musiała mieć jakiś powód. Jak myślisz?

Rys. St. Rozwadowski

— Nic nie myślę! Widzę, że to ty bez przerwy o niej myślisz! — zgasiłem go. — Daj mi święty spokój, zajmij się czymś.

Obraził się na parę dni. W ogóle nie podchodził do mnie w klasie, a kiedy mijaliśmy się na korytarzu, albo w drzwiach, to robił miny. Jego zdaniem powinienem pewno wyczytać z tych min, że ma mnie w nosie, ale nie chciało mi się nic wyczytywać. Przestałem go zauważać.

Nie tylko jego gryzło, że nie wie, skąd Irka przyjechała i dlaczego właśnie w połowie roku. Taki jeden, Kawecki, wymyślił na przykład, że ona na pewno w poprzedniej szkole coś poważnego zmalowała i przenieśli ją. Tak, jakby szkoła mogła przenosić z miasta do miasta. Kawecki miał fantazję i następnego dnia poszedł dalej w swoich pomysłach: że Irka chyba siedziała w poprawczaku, albo ma jakiś wyrok sądowy w zawieszeniu — i musiała zmienić szkołę. Idiota.

— Jak dojdziesz do tego, że ona jest szpiegiem niemieckim, to mi powiedz, dobra? — zaproponowałem mu. — I zamknij wreszcie gębę, bo jak się dziewczyna dowie, co o niej opowiadasz, to będziesz się potem długo tłumaczył.

To były zupełne bzdury, te wymysły Kaweckiego. Ale ciekawe, że jakoś zapamiętywało się je, skoro już raz zostały wypowiedziane. Sam się potem przyłapałem na myśli, że taka historia z poprawczakiem mogłaby właściwie być prawdziwą. Zdarzają się nie takie rzeczy. A w Irce uderzało to, że jest poważniejsza od nas, jakby bardziej dorosła.

Najprościej byłoby spytać ją zwyczajnie: dlaczego tu do nas przyjechałaś? A dlaczego w połowie roku? Może by powiedziała. A jeśli nie miałaby ochoty? No, to zawsze mogła odburknąć: a co cię to obchodzi? I byłoby przynajmniej jasne, że nie chce nic mówić o sobie. A tak, to nawet tego nie wiadomo. Co prawda zaraz pierwszego dnia Danka Kozłowska podeszła do niej i pytała o coś. No, tak. Ale jakim tonem!

— Skąd to się przybywa? — rzuciła pytanie gdzieś ponad jej głową i zrobiła minę, która mogła znaczyć: jeśli powiesz, że z Paryża, to i tak ci nie uwierzymy!

— Z daleka się przybywa — odpowiedziała Irka kładąc akcent na to „się przybywa". I Danka od razu była uziemiona.

Malcherczyk roześmiał się wtedy, ale sam to nie miał odwagi zagadnąć Irkę o cokolwiek. I ja też nie. Chociaż, nie wiadomo na jakiej podstawie, wydawało mi się, że mnie to by odpowiedziała. Nie pytałbym przecież tak głupio, jak Danka, tylko zwyczajnie.

Przyszła mi któregoś dnia do głowy dziwna myśl: a może ja jestem nieśmiały? Tak, na pewno jestem nieśmiały. Bo przecież gdyby było inaczej, nieraz już znalazłbym okazję, żeby z Irką porozmawiać. A może nawet odprowadzić ją do domu? Albo iść z nią do kina? Nigdy dotąd nie zauważyłem tej swojej nieśmiałości, ale któż to może wiedzieć — może nagle mnie naszła? Nie było, nie było — i jest. Jak grypa. Kiedyś przez radio słyszałem w takiej pogadance, że nieśmiałość jest jak choroba, trzeba ją leczyć. Więc może ja się zaraziłem? Ale od kogo? Jeżeli już — to tylko od Malcherczyka.

Nie było się kogo spytać, jak to jest z tą nieśmiałością i w ogóle. Taki już los, że jak chciałoby się z kimś poważnie porozmawiać, zawsze okazuje się wtedy, że właściwie nie ma z kim. Wszyscy niby tacy mądrzy, a jak przyjdzie co do czego, to ich nie ma.

C.d.n.

Foto: Wojciech Zawadzki

Szybciej niż wiatr

niosło tuż prawie do niebezpiecznej granicy, gdzie jeszcze wczoraj przez szeroką szczelinę w lodzie wydostawała się woda, podmywając lód od spodu. Dziś w nocy szczelina pokryła się cienką warstwą lodu. Sternik gwałtownie zakręcił sterownicą. Zanim zdążyłem wyluzować żagiel, zakręciło nami dwa razy dookoła osi i bojer bokiem przesunął się ku niebezpiecznej szczelinie.

— Wyskakuj! — wrzasnął sternik.

W oka mgnieniu byliśmy poza bojerem, lód głucho zatrzeszczał, padliśmy obydwaj plackiem. Pod naszymi kolanami zachlupotało, poczołgaliśmy się szybko przed siebie kilka metrów i dopiero wtedy podnieśliśmy na nogi.

Zrozpaczeni popatrzyliśmy na żagiel już do połowy zanurzony w wodzie, otoczony połamanymi kawałkami lodu. W rękach trzymałem wciąż kurczowo koniec talii) i właśnie miałem go rzucić, bo jasne było, że nie utrzymam na jednej niezbyt grubej linie prawie trzystukilogramowego bojera, gdy nagle w pochylony żagiel dmuchnął wiatr, wypełnił go i... w naszych oczach bojer zaczął z powrotem powoli wynurzać się z wody.**

Udało nam się zarzucić linę pod płozownicę, przybiegli koledzy z drabinami i, wspomagani przez wiatr, wyciągnęliśmy bojer na mocny lód. Doprawdy mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Lód jest bowiem niebezpieczny, a bojery — to sport dla rozważnych.

H.K.

---

*) Wanta — stalowa lina podtrzymująca maszt żaglówki czy bojera.

**) Talia — lina przy pomocy której manewruje się żaglem.

co to jest BOJER?

CZY WIECIE gdzie zimują raki? Oczywiście tam, gdzie żyją latem — w głębinie stawów i jezior, w szczelinach między kamieniami na dnie.

A czy wiecie, co robią zimą żeglarze? Oczywiście, to samo co latem — żeglują po jeziorach i na Zalewie. Ja wcale nie żartuję, a jeżeli nie wierzycie, to spójrzcie na fotografie, zrobione w końcu lutego na Zalewie Zegrzyńskim. Są żagle? Są! Jest Zalew? — jest! A te, podobne do kajaka długie kadłuby oparte o trzy płozy jak u sanek — to bojery. Kiedy wyjeżdżałam na kurs bojerowy zorganizowany przez harcerski ośrodek wodny hufca Warszawa-Śródmieście, niektórzy znajomi zapytywali mnie, co to jest bojer. A ja odpowiadałam: że to taki kajak na płozach. Albo: sanie z żaglem. Jak kto woli. Ja jednak po kilkunastu mniej lub więcej udanych ślizgach na bojerze twierdzę, że bojer — to taki „samochód bez hamulca".

BENZYNA ZA DARMO

PŁOZY — to koła, żagiel i wiatr — to silnik i benzyna, jest też kierownica jak w prawdziwym samochodzie. Rozpędza się, ustawiony bokiem do wiatru, bojer, pchając go po lodzie, a gdy wiatr zaczyna pchać napięty żagiel, wskakuje do środka, chwyta za kierownicę i mknie z wiatrem w zawody, nieraz nawet szybciej niż wiatr. *) Ale, jeżeli chce się zatrzymać, to jest trudniejsza sprawa, bo hamulca nie ma.

Aby się zatrzymać, trzeba wyłączyć napęd, czyli wykonać manewr żaglem i kierownicą tak, by bojer ustawił się dziobem do wiatru. Wiatr nie napina wtedy żagla i po wytraceniu szybkości bojer staje.

Umiejętność manewrowania żaglem i sterem w ten sposób, aby przy wietrze stale wiejącym z jednej strony móc posuwać się w różnych kierunkach, nie jest co prawda umiejętnością wrodzoną, ale można się tego nauczyć na kursie żeglarskim. Za jednym zamachem daje to możliwość pływania na żaglówkach jak i kierowania bojerem.

Dziewczęta i chłopcy z drużyn żeglarskich Harcerskiego Ośrodka Wodnego zaczynali jednak nie tylko od kursu, ale i od remontowania bojerów i reperowania żagli. Dlatego byli w niedzielę honorowymi gośćmi kursu dla instruktorów żeglarstwa lodowego i razem z nimi „latali" na bojerach. Ruch bojera na lodzie nazywany jest właściwie ślizgiem, ale bojerowcy mówią potocznie o „lataniu", bo moment, gdy pojazd lekko mknie po lodzie, unoszony porywem wiatru z sekundy na sekundę szybciej i szybciej, bardziej przypomina lot niż jazdę. Zwłaszcza że przecież nie słychać szumu silnika a tylko wiatr gwiżdże w uszach.

W tym roku tylko cztery harcerskie bojery „latały" po Zalewie Zegrzyńskim, ale już za rok będzie ich dużo więcej. Opracowano model lekkiego, jednoosobowego bojera z żaglem o powierzchni 7 metrów kwadratowych. Koszt jego produkcji nie przekracza 6 tys. złotych a wykonany w harcerskiej pracowni szkutniczej będzie jeszcze tańszy.

HANNA KOLASIŃSKA

*) Dlaczego — dzięki tzw. wiatrowi pozornemu, bojer może być szybszy od poruszającego go wiatru — dowiecie się z fizyki albo... na kursie żeglarskim.

Miejscami przy brzegach Zalewu Zegrzyńskiego już nie było lodu, a w ogóle wszędzie stała woda po kostki. W nocy mróz ścinał tę wodę po wierzchu i jeżeli lataliśmy rano, to ostre odłamki lodu, niby drobne szkło, pryskały w twarz. Oczywiście lataliśmy więc w goglach. Po paru dniach powiedziano nam, żeby już bojery rozmontować, bo lód jest za słaby — ale w nocy schwycił dość silny mróz i rano Zalew był gładki jak szklanka. Odkręciliśmy płozy, wyostrzyliśmy dobrze, przykręciliśmy z powrotem i jazda!

Tak nas poniosło, że aż gwizdały napięte wanty*). Trzeba było uważać, żeby nie wpaść w korkociąg. Wiatr był dość mocny, lód twardy — ani się nie spostrzegliśmy, jak nas po-

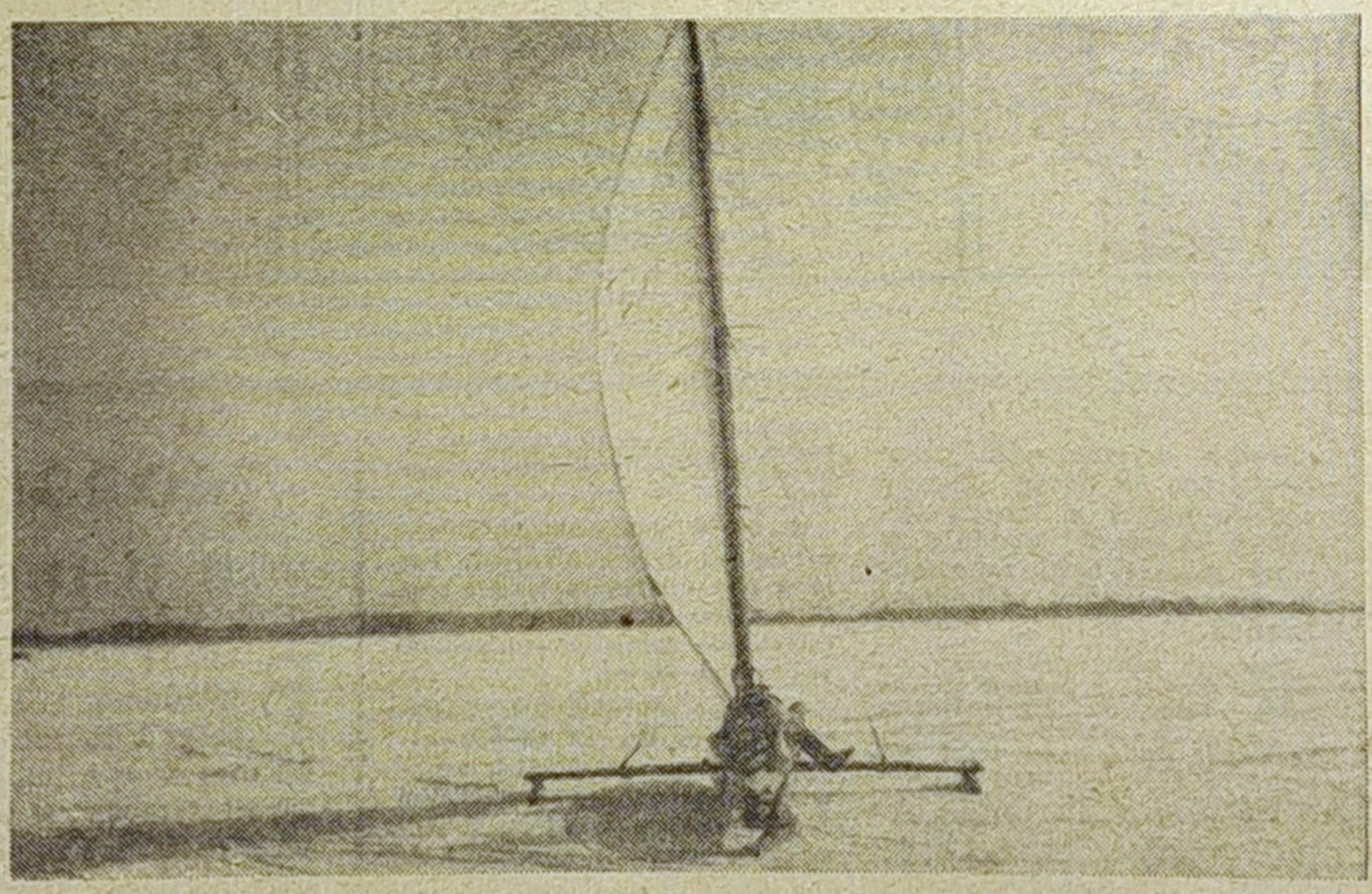

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

Zam. 326. T-50

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

TYTUS ROMEK i A'TOMEK

MIASTO ROZBITYCH OKRĘTÓW

CARRACROS to malutkie miasteczko na niewielkiej skalistej, wysepce u zachodnich brzegów Irlandii. Narażoną na wiatry Atlantyku wysepkę omywają fale Golfstromu, któremu to miasto przede wszystkim zawdzięcza ginącą już dzisiaj sławę.

W początkach naszego stulecia Carracros uchodziło mianowicie za jedno z najdziwniejszych miast świata. Wszystkie domy były tutaj zbudowane ze... szczątków okrętów wyrzuconych przez Golfstrom na brzeg. Okręty rozbite gdzieś u innych dalekich brzegów wpadały w silny morski prąd zanoszący je ku wybrzeżom zachodniej Irlandii.

Pierwszy dom zbudowany na wyspie powstał z kadłuba angielskiej fregaty, rozbitej w 1740 r. w okolicach wyspy Carracros. W ciągu stu pięćdziesięciu lat mieszkańcy wyspy rozebrali siedemnaście wielkich kadłubów drewnianych okrętów. Płoty i zagrody dla świń robiono z rzadkich i szlachetnych gatunków drewna — czerwonego drzewa tekowego, morenowego dębu, oregońskiej sosny i libańskiego cedru.

W miasteczku szczególnie wyróżniał się dom pastora. Nie było w nim ani jednej deski z rozbitego okrętu. Zbudowano go z całych pni drzew przyniesionych prądem na wyspę.

Czasy się zmieniły. Dzisiaj używa się mało drzewa do budowania okrętów, a z ciężkich metalowych wraków trudno budować dom. Carracros straciło imię najniezwyklejszego w świecie miasta.

MORSKI PORT — BUDAPESZT

BUDAPESZT, jak wiadomo, leży setki kilometrów od morza, a mimo to zarejestrowany jest w ONZ jako port morski. Obsługuje on statki wszystkich państw naddunajskich, przeładowując rocznie ok. 2 mln ton towarów.

Węgierska flota handlowa, składająca się ze statków dunajsko-morskich i pełnomorskich, liczy obecnie 20 jednostek o łącznym tonażu 21 tys. ton. Dwa statki węgierskie pływają na Bałtyku na zleceniach obcych załadowców. Bazą operacyjną i miejscem remontów jest port i stocznia w Gdyni, a portem macierzystym — Budapeszt.